

Adrian Oddwell

SERIA DLACZEGO TO JEST TAKIE GLUPIE

DLACZEGO WEEKEND KOŃCZY SIĘ SZYBCIEJ NIŻ SIĘ ZACZYNA?



Mała teoria czasu, który znika

SPIS TREŚCI

INTRO.....	3
Rozdział 1 - Piątek, który udaje że już jest weekend	9
Rozdział 2 - Sobota, jedyny prawdziwy dzień weekendu	14
Rozdział 3 - Niedziela rano, ostatnia chwila niewinności	20
Rozdział 4 - Niedziela po południu, moment w którym weekend zaczyna się zwijać	25
Rozdział 5 - Niedziela wieczór, kiedy cywilizacja zaczyna się przygotowywać na poniedziałek	30
Rozdział 6 - Poniedziałek rano, moment kiedy weekend nagle wydaje się bardzo odległy	35
Rozdział 7 - Dlaczego rzeczy przyjemne mają krótszy czas trwania	39
Rozdział 8 - Jeszcze tylko jeden odcinek	44
Rozdział 9 - Jeszcze zdążymy	49
Rozdział 10 - Plan, który miał uratować weekend	53
Rozdział 11 - Weekend bez planu, który zawsze wydaje się dłuższy.....	58
Rozdział 12 - Jeszcze tylko szybko coś sprawdzę.....	62
Rozdział 13 - Weekend w pamięci zawsze wygląda inaczej	67
Rozdział 14 - Pośpiech, który w weekend pojawia się znikąd	71
Rozdział 15 - Wykorzystajmy dobrze ten weekend	76
Rozdział 16 - Wakacje, które znikają jeszcze szybciej.....	80
Rozdział 17 - Dlaczego poniedziałki zawsze wydają się dłuższe.....	84

Rozdział 18 - Najdłuższe dni rzadko są najlepsze	88
Rozdział 19 - Może weekend wcale nie jest za krótki	92
Rozdział 20 - Może weekend zaczyna się trochę za późno	96
Rozdział 21 - Dlaczego mimo wszystko czekamy na weekend	100
Rozdział 22 - Moment, w którym weekend naprawdę istnieje	104
Rozdział 23 - Dlaczego niedziela zawsze odkrywa prawdę o czasie.....	108
Rozdział 24 - Najdziwniejsza rzecz w weekendzie.....	112
Rozdział 25 - Niedziela wieczorem jest trochę filozoficzna	116
Rozdział 26 - Czwartkowe złudzenie weekendu.....	120
Rozdział 27 - Piątek o 16:00, najdziwniejsza godzina tygodnia	124
Rozdział 28 - Najkrótsza chwila weekendu.....	128
Rozdział 29 - Dlaczego czas przyjemności zawsze wygląda podejrzanie	132
Rozdział 30 - Poniedziałek rano zawsze udaje zaskoczenie	136
Rozdział 31 - Tydzień istnieje głównie po to, żeby był weekend	139
Rozdział 32 - Dwa dni wolności to bardzo dziwny wynalazek	142
Rozdział 33 - Największy sekret weekendu	145
Rozdział 34 - Najuczciwsze zdanie o weekendzie.....	148
Rozdział 35 - Dlaczego mimo wszystko to działa	151

INTRO

Wszystko zaczyna się w niedzielę około godziny 19:14. To bardzo konkretny moment w historii ludzkości, choć nikt nigdy nie postawił mu pomnika ani nie nadał mu nazwy w podręcznikach socjologii. Jest to chwila, w której człowiek siedzi na kanapie, patrzy na ekran telefonu lub telewizora i nagle uświadamia sobie coś niepokojącego: weekend się skończył. Nie formalnie. Formalnie jeszcze trwa. W kalendarzu wciąż widnieje niedziela. Ale wewnętrznie każdy już wie, że to koniec. Niedziela o 19:14 jest jak impreza, na której nagle ktoś zaczyna sprzątać stoły.

To niezwykle dziwne doświadczenie, jeśli się nad nim zatrzymać choćby na chwilę. Piątek wieczorem potrafi rozciągać się w nieskończoność. Człowiek wraca z pracy, mówi sobie, że ma przed sobą całe dwa dni życia, i nagle wszystko wydaje się możliwe. Można odpocząć. Można nadrobić seriale. Można posprzątać mieszkanie. Można zadzwonić do znajomych, których nie widziało się od trzech miesięcy, a którym wciąż wysyła się wiadomości w stylu „musimy się w końcu spotkać”. Piątek wieczorem ma w sobie coś z obietnicy nowego życia.

A potem, nie wiadomo kiedy, jest niedziela.

I to nie jest zwykła niedziela. To jest ta druga niedziela. Niedziela po południu, która ma zupełnie inną atmosferę niż niedziela rano. Niedziela rano jest jeszcze optymistyczna. Człowiek wstaje później, robi kawę, patrzy przez okno i myśli, że dzień jest jeszcze młody. Może coś się wydarzy. Może pojedzie gdzieś spontanicznie. Może zacznie nowy projekt. Może przeczyta książkę, którą kupił trzy miesiące temu, bo miał wrażenie, że stanie się dzięki niej lepszą wersją siebie.

Ale niedziela wieczorem to zupełnie inna planeta.

Niedziela wieczorem ma atmosferę lotniska.

Nie chodzi o sam fakt, że coś się kończy. Ludzie potrafią radzić sobie z końcami różnych rzeczy. Wakacje się kończą, seriale się kończą, nawet pudełka lodów się kończą i jakoś człowiek żyje. Problem z weekendem polega na czymś bardziej subtelnym i jednocześnie bardziej absurdalnym: weekend kończy się szybciej, niż się zaczyna. I wszyscy to wiedzą. I wszyscy się z tym zgadzają.

To jest jedno z tych społecznych zjawisk, które funkcjonują w absolutnej zgodzie zbiorowej. Nikt nie protestuje. Nikt nie pisze petycji. Nikt nie mówi: przepraszam bardzo, ale matematycznie to się nie zgadza. Piątek wieczorem zaczyna weekend. Sobota trwa. Niedziela trwa. A jednak każdy ma wrażenie, że weekend trwa mniej więcej półtora dnia, z czego jeden dzień jest trochę nerwowy.

Najbardziej fascynujące jest to, że ludzie nie tylko akceptują ten mechanizm, ale wręcz organizują wokół niego swoje życie. W niedzielę wieczorem pojawiają się rytuały, które są tak powszechne, że aż niewidzialne. Ludzie zaczynają przygotowywać się psychicznie na poniedziałek, choć poniedziałek jeszcze nie istnieje. Sprawdzają pogodę na następny tydzień. Sprawdzają kalendarz. Czasami sprawdzają skrzynkę mailową, co jest mniej więcej tak dobrym pomysłem jak sprawdzanie, czy w lodówce nie czai się coś, co zepsuje nastrój.

Wtedy pojawia się charakterystyczne uczucie.

Nie jest to jeszcze stres.

To raczej delikatne poczucie, że coś się zamyka.

Co ciekawe, ten moment nie jest oficjalnie uznawany przez żadną instytucję. Nie ma urzędu, który ogłaszałby: „Szanowni państwo, od tej chwili weekend należy uznać za praktycznie zakończony”. Nie ma też syren, które wyłyby w niedzielę o 19:14. A jednak wszyscy czują to mniej więcej w tym samym czasie. To jeden z najbardziej zsynchronizowanych momentów w ludzkiej cywilizacji.

Socjologowie badają różne zjawiska zbiorowe. Badają wybory, protesty, migracje, zmiany kulturowe. Ale gdzieś pomiędzy tym wszystkim istnieje niedziela o 19:14 - moment, w którym miliony ludzi jednocześnie patrzą na zegarek i myślą dokładnie to samo zdanie: „To już?”.

Co jest jeszcze bardziej zdumiewające, weekend zaczyna się zupełnie inaczej. Piątek po południu nie ma tej dramatycznej ceremonii przejścia. Nikt nie siedzi o 16:03 i nie mówi: „Oho, zaczęło się”. Weekend zaczyna się powoli, niepewnie, trochę jak serial, którego pierwszy odcinek ogląda się z lekką rezerwą. Człowiek jeszcze przez chwilę sprawdza maile. Jeszcze przez chwilę myśli o pracy. Jeszcze przez chwilę mówi sobie, że może coś dokończy.

Weekend nie zaczyna się jednym momentem.

Weekend zaczyna się rozmyciem.

I to właśnie jest pierwszy mechanizm tej dziwnej nierównowagi czasowej. Początek weekendu jest miękki, niewyraźny, prawie niezauważalny. Koniec weekendu jest natomiast spektakularny. Ma dramaturgię. Ma atmosferę. Ma nawet swoją własną muzykę, bo niedzielne programy telewizyjne i reklamy mają w sobie coś dziwnie melancholijnego, jakby ktoś w tle włączył playlistę „Powrót do rzeczywistości”.

To dlatego weekend wydaje się krótszy niż jest.

Bo jego koniec jest wyraźny.

A jego początek jest nieśmiały.

Ludzie bronią tego systemu z niezwykłą powagą. Jeśli ktoś spróbuje powiedzieć na głos, że weekend powinien być dłuższy, natychmiast pojawiają się argumenty ekonomiczne, kulturowe i historyczne. Padają zdania o produktywności. Padają zdania o strukturze tygodnia. Padają zdania o tym, że „tak po prostu działa świat”. To niezwykle, jak szybko ludzie stają się ekspertami od organizacji czasu, kiedy ktoś sugeruje, że może dałoby się ten system trochę poprawić.

Jednocześnie ci sami ludzie w niedzielę wieczorem mówią rzeczy w rodzaju: „Jak to możliwe, że to już koniec weekendu?”. Mówią to co tydzień. I co tydzień są tak samo zaskoczeni.

To trochę tak, jakby ludzkość była w wiecznym związku z kalendarzem, który ją regularnie rozczarowuje, ale z którym nikt nie zamierza zerwać.

Najbardziej dramatycznym momentem jest ten, w którym ktoś wypowiada zdanie: „Jutro poniedziałek”. To zdanie nie jest informacją. Wszyscy wiedzą, że jutro jest poniedziałek. Kalendarze istnieją od bardzo dawna. Telefony też. Ale mimo to ktoś zawsze musi to powiedzieć na głos, jakby ogłaszał nadejście zjawiska atmosferycznego.

I wtedy w pomieszczeniu zapada krótka cisza.

Bo wszyscy wiedzą, że to prawda.

W tym momencie zaczyna działać drugi mechanizm absurdu weekendowego. Ludzie zaczynają traktować pozostałe

godziny niedzieli jak coś niezwykle cennego i jednocześnie już trochę straconego. To dziwny stan psychiczny, w którym człowiek chce odpocząć, ale jednocześnie czuje, że powinien jeszcze coś zrobić, bo przecież zaraz zacznie się tydzień.

Efekt jest przewidywalny.

Ludzie nie odpoczywają.

Ale też nic konkretnego nie robią.

Powstaje stan, który można nazwać produktywną bezproduktywnością. Człowiek krząta się po domu, otwiera lodówkę kilka razy bez powodu, przegląda internet, ogląda pół odcinka czegoś, czego i tak nie skończy, i ma wrażenie, że czas przecieka przez palce.

To bardzo ciekawe zjawisko psychologiczne.

Im bardziej człowiek próbuje zatrzymać niedzielny wieczór, tym szybciej on znika.

A kiedy znika, następuje kolejny etap rytuału: wielkie zdziwienie.

„Jak to już dziesiąta?”

To zdanie pada w milionach mieszkań na całym świecie.

Co tydzień.

Najbardziej niezwykle w całej tej historii jest jednak coś jeszcze. Ludzie wiedzą, że weekend działa w ten sposób. Wiedzą, że sobota jest jedynym naprawdę spokojnym dniem. Wiedzą, że niedziela po południu zacznie się kurczyć jak sweter po praniu. Wiedzą to wszystko z absolutną pewnością.

A mimo to co tydzień są zaskoczeni.

To jest właśnie ten moment, w którym zaczyna się prawdziwa zagadka tej książki. Bo jeśli coś dzieje się regularnie, przewidywalnie i w identyczny sposób miliony razy, to przestaje być przypadkiem. Staje się systemem. A systemy mają swoje reguły, swoje mechanizmy i swoje absurdalne konsekwencje.

I kiedy zaczniemy się im przyglądać, okaże się, że weekend wcale nie jest jedyną rzeczą, która w naszym życiu kończy się szybciej, niż się zaczyna.

Rozdział 1 - Piątek, który udaje że już jest weekend

Piątek o 16:47 to jeden z najbardziej teatralnych momentów w nowoczesnej cywilizacji. W biurach, mieszkaniach i open space'ach na całym świecie zaczyna się wtedy coś, co można nazwać zbiorową zmianą atmosfery. Nie ma żadnego oficjalnego sygnału. Nie ma gongu ani komunikatu przez głośniki. A jednak ludzie zaczynają zachowywać się inaczej, jakby ktoś niewidzialny ogłosił: „proszę państwa, rzeczywistość właśnie przechodzi w tryb weekendowy”.

Najpierw pojawia się subtelna zmiana tempa pracy. Ludzie wciąż patrzą w ekrany komputerów, wciąż klikają myszką, wciąż przewijają dokumenty, ale robią to z wyraźnie mniejszym przekonaniem. Nagle każdy mail wygląda mniej pilnie. Każdy raport wydaje się zadaniem, które z powodzeniem może poczekać do poniedziałku. Nawet jeśli piętnaście minut wcześniej ten sam raport był opisywany jako „krytyczny dla projektu”.

To fascynujące, jak szybko zmienia się percepcja pilności rzeczy.

Jeszcze o 14:30 wszystko było absolutnie konieczne. O 16:47 nagle okazuje się, że świat jest w stanie poczekać trzy dni.

I nikt nie uważa tego za szczególnie dziwne.

Najciekawsze w całym zjawisku piątku jest to, że formalnie weekend jeszcze się nie zaczął. Z punktu widzenia kalendarza to nadal zwykły dzień roboczy. Systemy informatyczne działają. Firmy są otwarte. Telefony wciąż mogą dzwonić. A jednak mentalnie ludzie już dawno przenieśli się do innej rzeczywistości.

Piątek po południu jest jak trailer weekendu.

Pokazuje fragmenty, buduje napięcie i daje obietnicę czegoś większego.

Nigdy jednak nie jest tym czymś naprawdę.

Jeśli ktoś spróbowałby obserwować ludzi w biurze w piątek około 17:10, zauważyłby serię bardzo charakterystycznych zachowań. Jednym z nich jest rytuał zamykania rzeczy, które wcale nie wymagają zamknięcia. Ludzie zapisują pliki z niezwykłą starannością, jakby komputer miał zniknąć w weekendowej próżni. Porządkują pulpit. Zamykają dziesiątki kart w przeglądarce, które przez cały tydzień żyły tam szczęśliwie jak rośliny doniczkowe.

Nagle wszystko musi być uporządkowane.

Jakby weekend był czymś w rodzaju audytu.

W tym samym czasie zaczyna się drugi rytuał, znacznie bardziej subtelny. Ludzie zaczynają mówić zdania, które są społecznie uznawane za sygnały końca dnia pracy. Zdania te brzmią bardzo niewinnie, ale w rzeczywistości pełnią funkcję komunikatów kodowych.

- „To już chyba na dziś wszystko.”
- „Dokończymy to w poniedziałek.”
- „Nie ma sensu zaczynać tego teraz.”
- „Jeszcze tylko jeden mail.”

Każde z tych zdań oznacza dokładnie to samo.

Weekend zbliża się.